Linia bojowa najeżona była pikami tworzącymi stalową ścianę, którą Szkoci przygotowali na powitanie Anglików. Wzdłuż niej przechadzali się teraz księża, poświęcając broń i wojowników. Żołnierze przyklękli, by przyjąć błogosławieństwo. Kilku lordów, w tym król, siedziało na koniach, by spoglądając ponad głowami swoich ludzi w kierunku południowym, móc obserwować pojawienie się ostatnich angielskich wojsk. Tak szczupłych liczebnie! Niewielka była to armia do pokonania. Po lewej stronie Szkotów znajdowało się Durham. Wieże miasta i jego wały obronne napełnione były po brzegi gawiedzią żądną widoku bitwy. Natomiast przed wojskami szkockimi znajdowała się ta skromniutka armia Anglików, którzy nie mieli dość zdrowego rozsądku, by wycofać się na południe, w kierunku Yorku. Zamiast tego gotowali się do walki na wzgórzu z wrogiem mającym wyraźną przewagę – zarówno co do zajmowanej pozycji, jak i liczebności wojsk.

- Jeżeli ich nienawidzicie – sir William zagrzewał do walki swoich ludzi na prawym skrzydle – niech się o tym dowiedzą!

Szkoci zaryczeli, demonstrując swoją nienawiść. Zaczęli uderzać mieczami i włóczniami o tarcze, wznosząc do nieba bojowe okrzyki. W centrum linii bojowej, w której pod chorągwiami z wizerunkiem krzyża czekał w pełnej gotowości schiltron króla, oddział doboszów zaczął uderzać w wielkie, wykonane z koźlej skóry bębny. Każdy bęben zrobiony był z dużego pierścienia, na który naciągnięte były dwie koźle skóry. Były one napięte za pomocą sznurów tak mocno, że upuszczony na nie żołądź odbijał się na wysokość ręki, która go rzuciła. Bębny, uderzane wierzbowymi witkami, wydawały ostry, prawie metaliczny dźwięk, który wypełniał niebo. Był to atak najprawdziwszego dźwięku.

- Jeżeli nienawidzicie Anglików, niech się o tym dowiedzą! – hrabia March krzyknął z lewego skrzydła, które znajdowało się najbliżej miasta. – Jeżeli nienawidzicie Anglików, niech się o tym dowiedzą! – ryk stał się głośniejszy, a uderzenia drzewców włóczni o tarcze mocniejsze, gdy odgłos szkockiej nienawiści dobywający się z dziewięciu tysięcy gardeł rozchodził się po całym wzgórzu przeciw trzykrotnie mniejszej armii, na tyle nierozważnej by stawić im czoła.

- Rozdepczemy ich jak łodygi jęczmienia! – obiecywał ksiądz. – Zalejemy ich pola cuchnącą krwią i wypełnimy piekło ich angielskimi duszami.

- Ich kobiety są wasze! – zawołał do swoich ludzi sir William. – Dziś wieczorem będziecie zabawiali się z ich żonami i córkami! – uśmiechnął się do siostrzeńca Robbiego. – Będziesz mógł sobie wybrać najładniejsze dziewczyny z Durham, Robbie.

- I z Londynu – dodał chłopak – jeszcze przed Bożym Narodzeniem.

- Tak, te także – obiecywał rycerz.

- W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego – krzyknął starszy kapelan króla – poślijcie ich wszystkich do diabła! Do piekła z każdym angielskim głupcem! Za każdą wysłaną dziś do piekła angielską duszę dostaniecie tysiąc tygodni mniej w czyśćcu!

- Jeżeli nienawidzicie Anglików! – krzyknął Robert Stewart, Wielki Steward Szkocji i następca tronu – niech się o tym dowiedzą!

Odgłos szkockiej nienawiści niczym grzmot wypełnił głęboką dolinę rzeki Wear, odbijając się szerokim echem od wzgórza, na którym stało Durham. Dźwięk ten ciągle narastał, oznajmiając całej północnej Anglii, że Szkoci przybyli na południe.

Dawid, król Szkotów, był rad z tego, że dotarł do miejsca, w którym przewrócił się krzyż z wygrawerowanym smokiem, w powietrzu unosił się dym z płonących chat, a Anglicy czekali na pewną śmierć. Był zadowolony, bo dzień ten miał przynieść chwałę świętemu Andrzejowi, *wielkiej dynastii Bruce i całej Szkocji* (B. Cornwell, *Wagabunda*, IW Erica, Warszawa 2009, s. 76-77).

Szyderstwa Szkotów nasiliły się jeszcze bardziej, gdy nagle z samego środka angielskiego szyku wyjechał wysoki mężczyzna na wspaniałym rumaku. W czarną grzywę jego ogiera wpleciono purpurowe wstążki, a przez grzbiet przewieszono kropierz w takim samym kolorze, zdobiony wyhaftowanymi złotymi kluczami i tak długi, że ciągnął się za tylnimi kopytami zwierzęcia. Łeb konia chroniony był skórzanym naczółkiem, z którego wystawał srebrny, skręcony niczym u jednorożca róg. Jeździec miał na sobie wypolerowaną, lśniącą zbroję płytową, na którą nałożył pozbawiony rękawów purpurowo-złoty płaszcz. Te same barwy nosili jego giermek, mężczyzna trzymający sztandar oraz tuzin jadących za nim rycerzy. Przystojny jeździec nie miał przy sobie miecza, ale w zamian uzbrojony był w długiego morgensterna. Po szkockiej stronie z podwójną siłą zabrzmiały bębny, padały kolejne wyzwiska, a Anglicy wiwatowali, dopóki smukły jeździec uniesieniem dłoni nie nakazał ciszy.
- Zaraz jego eminencja wygłosi nam homilię – z ponurą miną oznajmił lord Outhwaite. – Jego eminencja z wielkim upodobaniem wsłuchuje się w... swój własny głos.
Niewątpliwie dostojnym jeźdźcem był arcybiskup Yorku. Gdy w angielskich szeregach zapanowała cisza, ponownie uniósł opancerzoną prawą rękę ponad hełm koloru śliwki i fantazyjnym gestem wykonał znak krzyża.
- Dominus vobiscum – rzekł donośnie. – Dominus vobiscum.
Przejechał wzdłuż szyku, powtarzając inwokację.
- Zabijecie dziś wroga Bożego! – tymi słowami kończył każdą kwestię, obiecując, że Najwyższy stanie po stronie Anglików. Musiał przekrzykiwać zgiełk, jaki robili Szkoci. – Bóg jest z wami, a wy wykonacie dziś Jego dzieło, czyniąc wiele kobiet wdowami, a dzieci – sierotami. Wypełnicie Szkocję wielką żałością, co będzie sprawiedliwą karą za ich grzech bezbożności. Bóg zastępów jest z wami; boska zemsta jest waszym zadaniem!
Rumak arcybiskupa stąpał paradnie, unosząc wysoko kolana przednich nóg i podrzucając łeb do góry i w dół, podczas gdy hierarcha dodawał otuchy flankom armii. Ostatnie smużki mgły dawno rozpłynęły się w powietrzu. Poranny chłód ogrzewało słońce, którego promienie połyskliwie odbijały się od tysięcy szkockich mieczy. Z miasta przyjechały dwa jednokonne wozy z dostawą suszonych śledzi, chleba i bukłaków z ale. Wiktuały te roznosił pośród żołnierzy tuzin kobiet (B. Cornwell, *Wagabunda*, IW Erica, Warszawa 2009, s. 90-91).

Wypadałoby jeszcze napisać coś od siebie o grze i o bitwie, ale po takim wprowadzeniu wszystko powinno być jasne. Jesteśmy na północy Anglii, pod Neville's Cross, pamiętnego roku 1346 roku, kiedy to król Anglii Edward III pokonał Francuzów pod Crécy. Wyprawę króla angielskiego na kontynent i odejście wraz z nim znacznej części wojska postanowili wykorzystać odwieczni wrogowie Anglików – Szkoci, którzy uderzyli na północną Anglię i w swoim marszu na południe planowali dotrzeć aż pod sam Londyn. Gra pochodzi z francuskiego magazynu ***Vae Victis*** (wydanie specjalne nr 10). Bitwa oparta jest na zasadach systemu ***Au fil de l'***

é
p
é
é! (Na ostrze miecza!)
, którego tłumaczenie wkrótce ukaże się na naszym portalu. Zasady są proste, a ta rozgrywka mamy nadzieję przybliży jak to wszystko działa i stanowić będzie swego rodzaju wprowadzenie.

Szkoci – Czmielon, Anglicy – Raleen.

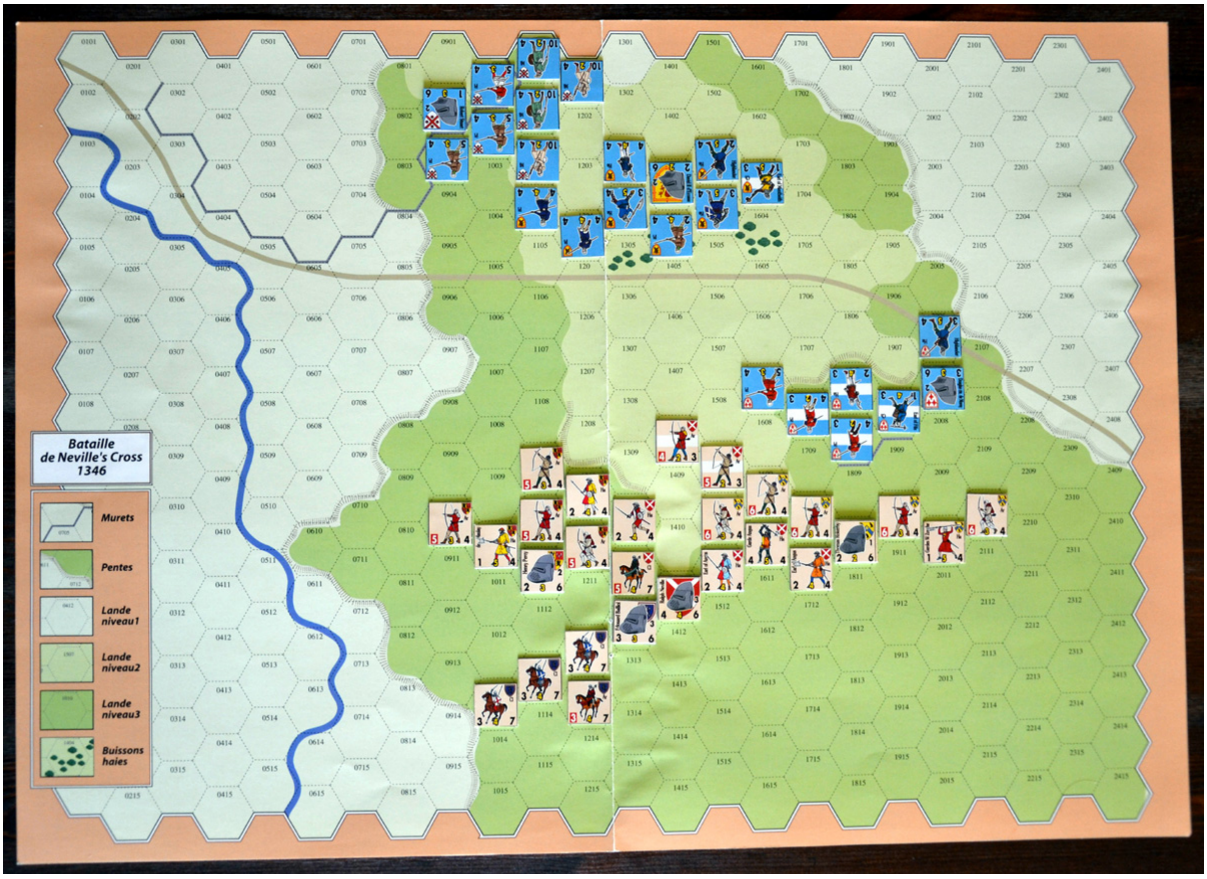

Początek bitwy. U dołu armia angielska, u góry armia szkocka pod wodzą króla Dawida II. Lewe skrzydło Szkotów wysunęło się do przodu. Niektóre jednostki pierwszej linii uległy zmęczeniu podczas wstępnych walk

[illegible] oddziały łuczników i

[illegible] oiwnika

[illegible]

[illegible]

[illegible]

[illegible]

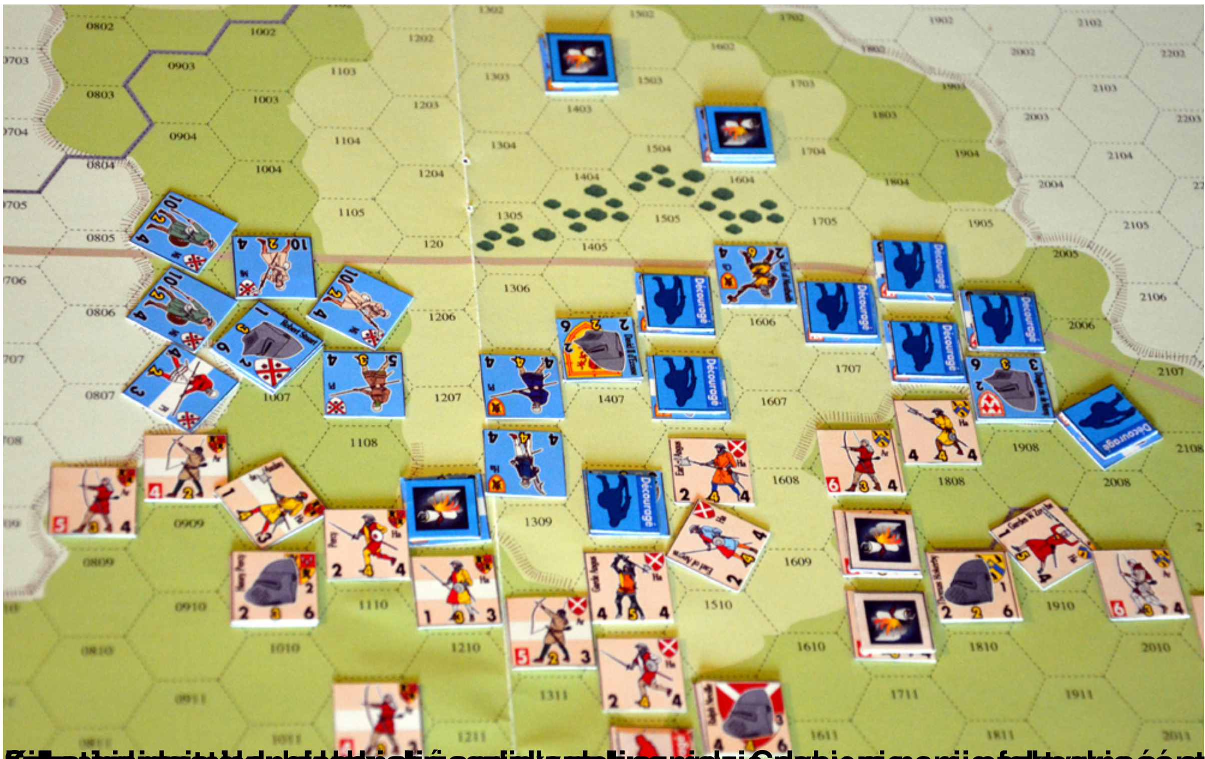

[illegible]

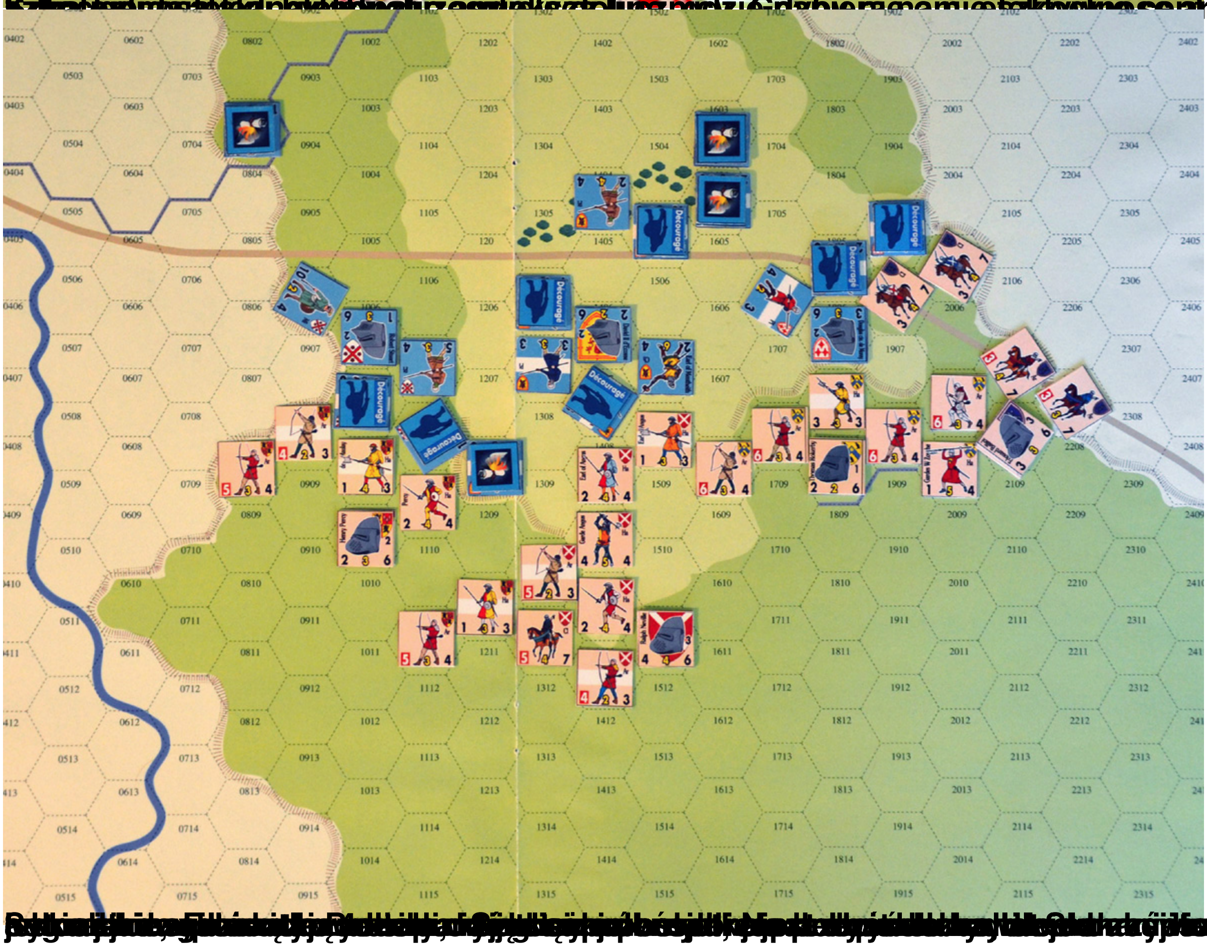

[illegible]

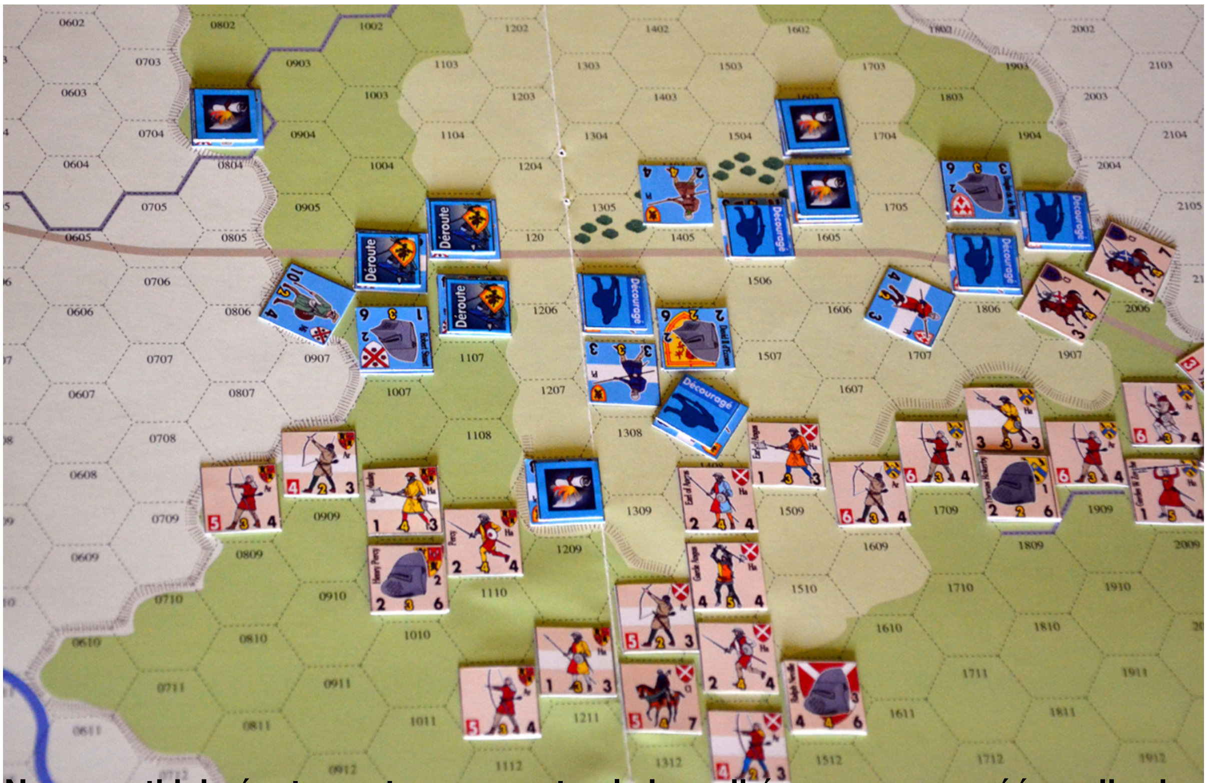

Na początku czwartego etapu, po ostrzale łuczników znaczna część armii szkockiej

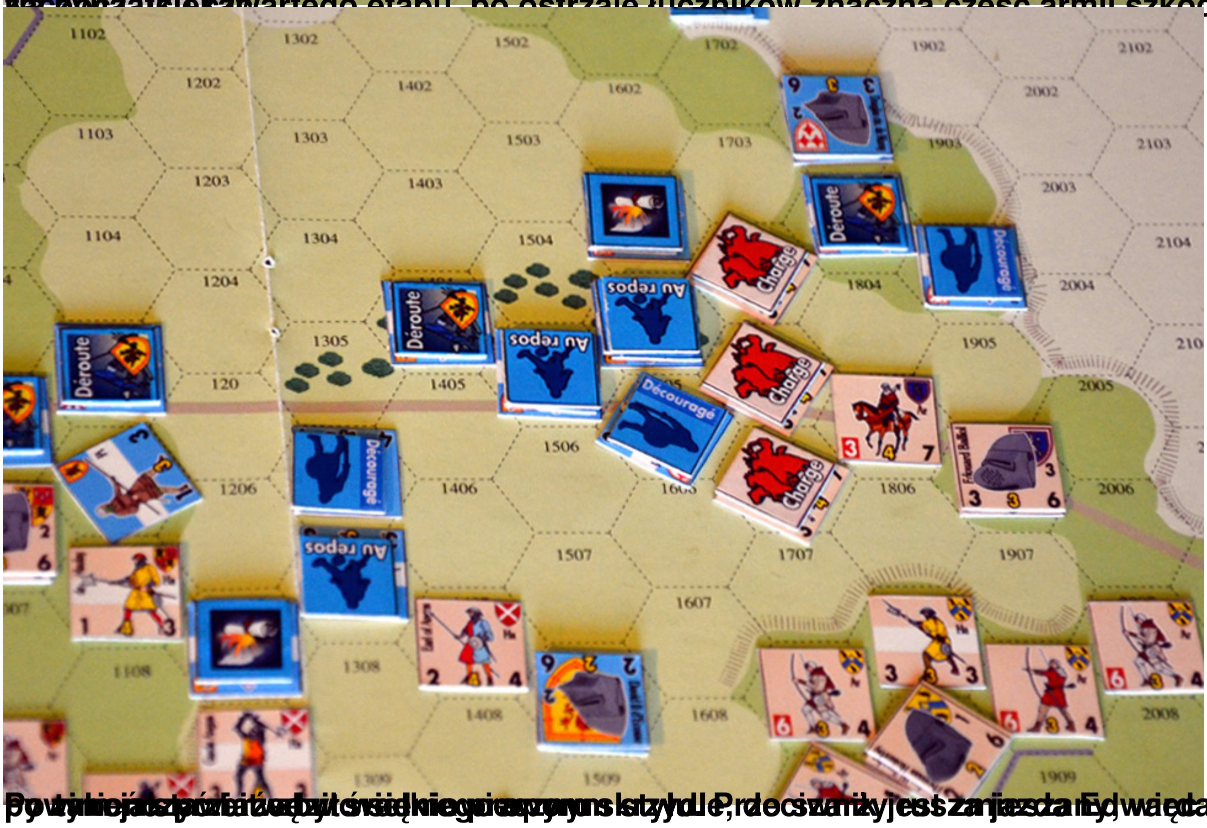

[illegible] Balliola,

[illegible]

Dyskusja o grze na FORUM STRATEGIE [illegible]